Przemowa Jana Stapińskiego

posła sejmowego i kandydata na posła do Rady państwa z m. Lwowa,

na publicznem zgromadzeniu pod przewodnictwem inżyniera p. Karola Lewickiego d. 2. maja 1902. w sali Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie.

Szanowne Zgromadzenie!

Stronnictwo ludowe, postanowiwszy wziąć czynny udział w wyborze posła do Rady państwa z m. Lwowa, uchwaliło, że ja mam być kandydatem Stronnictwa. W tym też charakterze, jako kandydat mam zaszczyt się przedstawić i prosić o rozważenie pobudek, które skłoniły Stronnictwo ludowe do postawienia kandydatury, oraz dlaczego kandydaturę przyjąłem i o mandat poselski do Rady państwa ze stolicy kraju ubiegać się zdecydowałem.

* * *

Staję przed Szanownem Zgromadzeniem jako przedstawiciel ruchu ludowego, w chwili kiedy zaczyna się budzić wśród mieszczaństwa myśl samoobrony i to przeświadczenie, że lepsza od teraźniejszości przyszłość sama nie przyjdzie, lecz trzeba się o nią starać, trzeba walczyć o poprawę doli, a przedewszystkiem trzeba wziąć czynny udział w życiu politycznem, nie rezygnować z praw i nowych się domagać.

Nie gleba miejska temu winna, że dziś dopiero, kiedy w około tętni życie, myśl samoobrony poczyna na niej rozkwitać, bo ta gleba, w czasie ruchów wolnościowych bywała bardzo bujną. W najcięższych chwilach dziejowych Galicji, kiedy kraj nietylko był wyzyskiwany przez obcy przemysł, ale i przez obcą biurokrację, kiedy ucisk absolutyzmu i germanizacji ciążył nad krajem, a chłop jęczał w więzach pańszczyzny, — mieszczaństwo lwowskie wystąpiło do walki o prawa polityczne i obywatelskie, o nasze prawa narodowe, o zniesienie pańszczyzny, ciężącej nad chłopem. Wszystkiego tego domagało się mieszczaństwo lwowskie 1848 r., formułując to w swych postulatach, które stały się programem kraju i zostały c z ę ś c i o w o urzeczywistnione.

Ale tylko częściowo.

Ustał wyzysk Galicji przez obcą biurokrację, swoi znaleźli zarobek w urzędowaniu. Ale pozostał wyzysk ekonomiczny Galicji, przez inne, przemysłowe prowincje Austrji, konkurencja owych krajów tamuje nasz rozwój ekonomiczny: fabryki tamtych krajów przeszkadzają powstawaniu u nas fabryk, tandeta tamtych krajów zabija nasze rzemiosła. Cierpi na tem przedewszystkiem mieszczaństwo, cierpią rękodzielnicy i robotnicy.

Ale nie dość na tem, są jeszcze inne pęta, krępujące nasz rozwój. Znaczna część synów tej ziemi, posadami urzędowemi uzależniona od rządu, dozorowana przez rzeczników trójlojalizmu z grona rządzącej kasty, skrępowana różnemi tajnemi kwalifikacjami i rozporządzeniami centralistycznych ministerjów, nie mogła i dotąd nie może swobodnie prowadzić tej pracy politycznej, wśród mieszczaństwa, jaką podjęła w r. 1848. i 1868.

Inna część inteligencji, uczestnicząca w życiu politycznem, zwykła dopiero w chwili wyborów rozwijać przed mieszczaństwem proporce demokratyczne, dla parady, dla werbowania głosów kandydatowi na posła. Te praktyki samolubne, maskowane patrjotycznymi frazesami, ograbiają mieszczaństwo z siły politycznej, z krzywdą dla miast, z krzywdą dla kraju, dla całej Rzeczypospolitej. Wszystkie postępowe żywioły czekają, aby miasta wzięły n a l e ż n y udział w pracach i walkach dzisiejszego pokolenia.

Zaczął się budzić w miastach ruch robotniczy na modłę zachodnio europejską. Ruch ten, to walka o lepsze warunki pracy. Nie mógł on jednak w kraju naszym ani rozróść się, ani dać pożądanych rezultatów, gdyż nam brak warstatu pracy, brak fabryk i wielkich zakładów przemysłowych.

Nieco pierwej rozpoczął się ruch ludowy wiejski. Ten ruch, to rozbudzenie poczucia wśród włościaństwa, że ono jest polskiem, a nie cesarskiem. Ten ruch czyni włościan czynnymi obywatelami kraju, prze ich do wyrobienia umysłowego, podnosi ich dobrobyt, pohamowuje operacje różnych spekulantów i wyzyskiwaczy, przyczynia się do lepszej gospodarki w gminie, parafji i powiecie. ośmiela lud do coraz nowszych sposobów szukania pracy i zarobku, uczy lepiej obracać oszczędności, ruguje pieniactwo, pijaństwo i inne złe nałogi. Ten ruch to początek nowego dla nas życia politycznego. W trudnych powstał on warunkach, miał i ma do zwalczenia tysiączne przeszkody i przeciwieństwa: ciemnotę i przesądy pośród własnej rzeszy, przeciwdziałanie konserwy i różnych cmentarników, którzy dla utrzymania swych przywilejów, radziby lud widzieć pogrążonym w wiecznem uśpieniu i nieświadomości. A jednak mimo wszystko ruch ten potężnieje i już teraz oddziaływa wybitnie na życie publiczne.

I nie należy się trwożyć zapowiedziami różnych puszczyków, że ruch ten słabnie. Prawda, — przegraliśmy kampanję przy powszechnych wyborach do Rady państwa i do Sejmu, ale tylko z powodu przekupstwa, presji i wszelkiego rodzaju nadużyć, które zastosowano w niebywałych rozmiarach; ale ta przegrana nietylko nie złamała ruchu ludowego, ale przeciwnie, pobudziła jeszcze szersze rzesze do walki, do obrony.

Po »ruchu ludowym« przyszła kolej na »r u c h m i e s z c z a ń s k i«, a p i e r w s z e stanęło do czynu m i e s z c z a ń s t w o l w o w s k i e. Z różnych stron kraju nadchodzą pocieszające wieści, że i inne miasta gotowe ruszyć za przykładem Lwowa. Potrzeba tylko wspólnego porozumienia, wspólnego mieszczańskiego programu, wspólnej organizacji i wspólnej taktyki, a jest nadzieja, że mieszczaństwo rychło uzyska znaczenie polityczne i korzystne warunki dalszego rozwoju.

Po licznych zawodach, próbach i doświadczeniach, uwaga mieszczaństwa lwowskiego zwróciła się na Stronnictwo ludowe. Zerwano z dawnemi uprzedzeniami i powiedziano sobie, że w kraju, w którym 80 proc. jest ludu rolniczego, wiejskiego, tylko w ścisłym sojuszu mieszczaństwa, z uświadomioną rzeszą włościańską, można wytworzyć potężną partję polityczną. Wybór posła Bojki we Lwowie, był pierwszą manifestacją zwrotu opinji w tym kierunku.

Słyszymy przewrotne perswazje przeciwników, że »przecież miasto ma całkiem inne i zgoła sprzeczne ze wsią interesy«. — Niedawno, gdy my dowodziliśmy chłopu, że ma zupełnie odmienne interesy klasowe, niż dziedzic rozległych włości, podniesiono przeciw nam okrzyk oburzenia, — mówiono, że siejemy niezgodę, waśń, między stanem włościańskim, a stanem wielkich posiadaczy ziemskich. — Ale teraz, gdy mieszczaństwo rozsądne i patrjotyczne, wyciąga bratnią dłoń do włościaństwa i wspólnie z niem chce walczyć o postęp, o podźwignięcie z nędzy ostatecznej kraju, — czyż nie ci sami faryzeusze wołają, że »program ludowy, to program chłopski, a chłopi mają wręcz przeciwne interesy, niż miasta«! Te alarmy, które nawiasem mówiąc, już się nie nazywają »w a ś n i e n i e m«, bo wszak chodzi tu tylko o mieszczanina i chłopa, mają na celu odstrychnąć mieszczan

stwo od Stronnictwa ludowego. — Nieszczere to przecież alarmy.

Od pierwszej chwili formowania się Stronnictwa ludowego, bo w programie uchwalonym na zjeździe w Rzeszowie w r. 1895, pod przewodnictwem dr. Karola Lewakowskiego, posła miasta Lwowa i pierwszego prezesa naszej organizacji, — nie znajdzie nikt, ani jednego postulatu, któryby dla mieszczaństwa był niepożądanym, któryby nie był dla nich użytecznym, — każdy natomiast znajdzie szereg postulatów, odnoszących się do rękodzieł, przemysłu i wogóle spraw mieszczańskich. I tak uchwalono na owym pierwszym zjeździe ludowców:

Dążyć do rozszerzenia praw Sejmu krajowego, aby nie był, jak obecnie, maszyną do uchwalania myt, podatków konsumcyjnych i t. p.

Czuwać nad ścisłem wykonywaniem ustaw, zastrzegających swobodę prasy, stowarzyszeń i zgromadzeń, a nadużycia pod tym względem usuwać, niemniej chronić lud od wszelkich innych nadużyć, nastając na to, aby winni byli pociągani do odpowiedzialności.

Dążyć do równomiernego rozkładu ciężarów publicznych, przez zaprowadzenie jednego podatku osobisto-dochodowego na zasadzie progresywnej, a w szczególności do ulg dla rolnictwa, przemysłu i rzemiosł;

Wyjednać dla gmin słuszne wynagrodzenie ze skarbu państwa za sprawowanie poruczonego zakresu działania.

Popierać oświatę — przez mnożenie liczby szkół ludowych, średnich kosztem skarbu państwa, polepszenie bytu nauczycieli ludowych, a ułatwienie młodzieży dostępu i uczęszczania do szkół średnich, przez zmianę utrudniających w tym względzie przepisów organizacyjnych szkolnictwa ludowego, obniżenie czesnego i zniesienie przymusowego umundurowania. Zarazem popierać oświatę fachową przez odpowiednią organizację szkół przemysłowych i rolniczych.

Czynić w ogóle wszystko, co oświatę publiczną ułatwia, a nie utrudnia.

Domagać się uproszczenia sądownictwa w sprawach spornych i niespornych, i zniesienia uciążliwych opłat do wymiaru sprawiedliwości przywiązanych.

Domagać się zmiany ustawy kościelno-konkurencyjnej, aby osady mające kościoły (cerkwie) filjalne, nie potrzebowały ponosić wydatków na kościoły macierzyste, tudzież aby parafjanie nie byli obowiązani stawiać i naprawiać budynków plebańskich (i w ogóle, aby były usunięte niesłusznosci dotychczasowych przepisów, które dopuszczają, że taki n. p. JE. Dawid Abrahamowicz nie chce zapłacić konkurencji na kościół św. Piotra i Pawła we Lwowie).

W interesie rękodzielnictwa upominać się o wydanie ustawy przemysłowej, któraby chroniła drobny przemysł przed nawałą szalbierczych przedsiębiorstw fabrycznych ze szkodą publiczności, a przemysł domowy od ucisku fiskalnego.

Starać się o tępienie lichwy i organizację kredytu dla drobnego rolnika i przemysłowca.

Pilnować, aby wszelkie dostawy dla wojska i zakładów publicznych, o ile na to produkcja krajowa pozwala, były uskuteczniane w kraju i bezpośrednio u producentów, a przy przedsiębiorstwach publicznych, aby uwzględniano przedewszystkiem lud pracujący.

Domagać się rozkładu ciężarów kwaterunkowych na cały kraj, jakto przepisuje ustawa państwa.

W sprawie budowy kolei lokalnych baczyć na to, aby je uskuteczniano krajowemi siłami technicznemi, aby języki krajowe były zastrzeżone w ich zarządzie, aby tras tych kolei nie przystosowywano li do interesu protegowanych jednostek, a w szczególności starano się uwzględniać okolice przemysłowe i zdrojowiska. Taryfy na kolejach wogóle powinny również odpowiadać interesom kraju.

Przyspieszyć organizację obrony od pożarów z równoczesnem utworzeniem kraj. funduszu pożyczkowego na przyrządy ogniowe dla gmin i zaprowadzeniem przymusu asekuracyjnego.

A wreszcie i przytoczone i inne podobne postulaty streszcza program rzeszowski w tych słowach:

Domagamy się tylko gorliwej opieki, serdecznego dbania i starania o los miljonów.

Chcemy śmiałej, niezawisłej kontroli nad organami wykonawczymi, do czego trzeba ludzi, nie spekulujących na grzeczności wysoko-dygnitarskie.

Jako obywatele wszyscy równi przed prawem i zarówno wypełniający obowiązki wobec kraju i państwa, pragniemy równej miarki dla wszystkich, jak między braćmi przynależy.

Wreszcie domagamy się z całą stanowczością takiego prawodawstwa i wykonawstwa, abyśmy w kraju naszym nie mieli rządów bez ustaw, ani ustaw bez rządów.

Wyborcy miast, miasteczek i siół nieszczęśliwego kraju — prosimy was wszystkich bez różnicy wyznania, obrządku, narodowości i zawodu, — raczcie, gdy przyjdzie stanąć do urny, wotowaniem swojem męskiem, nieustraszonem i obywatelskiem, dopomódz do tego. A po wyborze ludzi, stosownych do wykonania niniejszego programu, sprawy kraju, da Bóg, innemi, niż dotąd, pójdą torami.

Tak uchwalono na zjeździe w Rzeszowie 28. lipca 1895.

A więc już wówczas, na pierwszem miejscu postawiliśmy postulat rozszerzenia praw Sejmu krajowego.

Kiedy lata walki dały ruchowi ludowemu hart i siłę, żądanie to na kongresie Stronnictwa w Tarnowie w r. 1901. przyoblekło się w uchwałę następującej treści:

Żądamy: Usamodzielnienia Królestwa Galicji i Lodomerji z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, łącznie z polską częścią Śląska, do granic zakreślonych wnioskiem sejmowym Franciszka Smolki na dniu 22. sierpnia 1868 r., t. j. takiego stanowiska w monarchji, jakie ma Królestwo węgierskie.

Żądamy równocześnie jako podstawy rzetelnego samorządu naszej dzielnicy: równego, powszechnego, bezpośredniego prawa głosowania do Sejmu, i aby ta nierozerwalna łączność urządzeń samorządnych z prawami obywatelskiemi stanowiła fandamentalne postanowienie Statutu krajowego.

* * *

Prawnopaństwowa odrębność Węgier, która dała im możność pomyślnego rozwoju, wytworzenia przemysłu, przez ulgi podatkowe, obronę przed przemysłem austrjackim taryfami kolejowemi itp., jest dla nas drogowskazem. Jeśli chcemy takiej polityki ekonomicznej, jaką prowadzą Węgrzy, to musimy chcieć, aby nasz Sejm miał takąż kompetencję, jak ma dla spraw węgierskich Sejm Węgier. Wówczas to skutecznie wyplenimy z kraju naszego zagraniczną tandetę, wzmoże się nasz przemysł, podniosą się miasta, a za niemi wsie, które znajdą lepszy zbyt na swe produkty.

Żądanie wyodrębnienia Galicji musi się stać programem kraju, jak odrębność prawnopaństwowa Czech stała się programem społeczeństwa czeskiego.

Ten wielki cel polityki ludowej, to wyraz dążeń narodu do niepodległego bytu. I stąd nasz apel do wszystkich, co czynny, żywy demokratyzm łączą z patrjotyzmem, tj. do wszystkich ludowców, czy znoją się oni przy pługu i kosie, czy w warstacie robotniczym lub przy biurku urzędniczem, aby łączyli się w jedno Stronnictwo ludowe, które miałoby dość siły, aby spełnić tę wielką misję.

Na razie jesteśmy odosobnieni, ale mamy wiarę, że »przez czyny żyjące jednostka nawet mnoży się w tysiące«. Nie dopieroż Stronnictwo co z ludu wyrasta. Tylko trzeba w polityce znać, jedno jedyne kryterjum: interes ludu — narodu.

To mi określa marszrutę, jeśli będę wybrany posłem do Rady państwa.

Wstąpię do klubu posłów ludowych, do którego należą w danej chwili posłowie Bojko, Krempa, Kubik, Olszewski, aby wespół z nimi stać twardo na wiedeńskim posterunku i bronić interesów ludu i kraju, na drodze polityki zasad, polityki niezawisłej, polityki narodowej.

Bo przeczę temu, aby na manowcach polityki Koła polskiego pełniło się służbę narodową. Nie mówię już o tem, że kto wchodzi do Koła, wrogiego zdemokratyzowaniu kraju, ten niech u drzwi jego złoży swój program usamodzielnienia Galicji, niech się wyrzecze podniesienia w Radzie państwa piekących potrzeb ludu. Ale pytam, czy przy taktyce Koła, która ma przecież głębokie przyczyny, można współzawodniczyć z reprezentantami innych ludów, aby osiągnąć konieczne dla kraju warunki rozwoju?

Spojrzyjmy ku Wiedniowi, co tam od paru lat się dzieje! Wszystkie bez wyjątku inne ludy Cislitawji: Niemcy, Czesi, Rusini, Słoweńcy, Włosi wystąpili z postulatami narodowymi, od których spełnienia czynią zależną powolność swą dla rządu, a nawet wierność dla idei państwowej. I każdy z ludów coś otrzymał, nieraz ważne nabytki narodowe i ekonomiczne zdobycze. Tylko jedno jedyne Koło polskie »szczyci się«, że bezinteresownie służy państwu i dynastji i niczego nie żąda — prócz poparcia przy wyborach dla swoich kandydatów i bezkarności dla członków i służalców kliki stańczykowskiej za zbrodnie spełniane na ludzie.

Cóż Koło polskie od 30 kilku lat dla narodowej sprawy, dla Polski zrobiło? — Nie rozszerzyło w niczem naszych praw narodowych w tej dzielnicy. Dotąd od 30 przeszło lat język polski w galicyjskich urzędach jest właściwie tolerowany na mocy rozporządzenia z r. 1869. Koło polskie nie wystarało się, by nasze językowe uprawnienia w urzędach oprzeć na ustawowej, niewzruszalnej podstawie. Co więcej, Koło polskie nie wywalczyło swoim wpływem nawet tego, by to językowe rozporządzenie cesarskie było w całej pełni wykonywane, gdyż wbrew temu rozporządzeniu używa dotąd żandarmerja języka niemieckiego! Jak przed r. 1869., tak i dotąd język niemiecki obowiązuje u nas jeszcze nadto w prokuratorjach, w zarządzie domen i lasów, na kolejach, pocztach, telegrafach i u władz skarbowych.

Prawa językowe narodu polskiego są pomiatane na Śląsku i na Bukowinie, a Koło polskie nie umiało wyjednać nawet bodaj jednej szkoły średniej polskiej na Śląsku.

Galicja na każdym kroku wyzyskiwana, krzywdzona niedostatecznie zaopatrzona w szkoły państwowe, gnębiona ekonomicznie przez niekorzystne taryfy kolejowe itp., składająca haracz na asanację i regulację Wiednia, Pragi, na regulację rzek tyrolskich, a sama zalewana powodziami rokrocznie i dziesiątkowana tyfusem, wysługująca się całemu światu w najcięższej pracy zarobkowej emigracji, — Galicja wynędzniała, głodna, ciemna wyszydzana, — oto do czego doprowadziła nas obrona ze strony Koła polskiego! Takiej polityki narodową nazwać się nie godzi!

A cóż mówić o tem, by Koło ujęło się za bracią z za kordonów, gnębioną i prześladowaną przez zaprzyjaźnione z Austrją mocarstwo? Jeżeli tam kiedy w tem Kole odezwał się głos nieśmiały w tej sprawie, ileż razy była w tem jedynie chęć współzawodniczenia z opozycją pozakołową.

Co więcej, — zapisano w rocznikach parlamentu jak to Koło na hańbę naszą polskiem się zowiące czciło hołdem pamięć cara — ciemiężyciela narodu polskiego, a posła lwowskiego dr. Karola Lewakowskiego, gdy przeciw temu zaprotestował ścigano w dziki sposób przez usłużną prasę i urągano mu.

Mówią nam wprawdzie ludzie, co politycznie myśleć nie umieją: »wstąpcie i reformujcie«. Na to odpowiemy zapytaniem: czem tłumaczycie, że zmarnowało się w tem Kole tyle sił wybitnych a Koło zachowało swój zasadniczy charakter bez zmiany? Czyż słowa, które pozwolę sobie tu przytoczyć, pisane w r. 1879., a które były wyznaniem wiary kilku kandydatów na posłów przy ówczesnych wyborach do Rady państwa, nie odpowiadają jak najzupełniej i dzisiejszemu stanowi rzeczy?

»Delegacja polska, brakiem wszelkiego wytycznego programu, i wszelkiego ducha opozycyjnego, — wysługiwaniem się każdoczesnemu gabinetowi pod tytułem niby skarbienia sobie faworów korony, — upornem zamilczaniem wszystkiego co dolega krajowi i narodowi całemu, a we właściwej chwili ruszone mogłoby być usunięte, — nałogowem zaniedbywaniem obowiązku poselskiego, choćby tylko bywania na sesjach, — zapominaniem, iż posłowie są reprezentantami ludu, a nie hofratami, i że każdą sprawę powinni traktować jawnie w Izbie, a nie chodzić i kłaniać się po biurach ministerjalnych, jak prości suplikanci lub faktorzy, — że tedy Koło delegacyjne polskie omyliło w zupełności nadzieje, jakie do jego działania kraj przywiązywał. Niepowrotną może wyrządziło szkodę własnej ojczyźnie, a złą przysługę samejże Austrji«.

Nie chcę nużyć wykazywaniem, jak się tworzy to Koło polskie przy obecnej ordynacji i wśród jakich praktyk wyborczych, ani rozwijać tej elementarnej prawdy, że budowa jakiegoś organu określa z góry jego funkcje. Ale sądzę, że prawdę o Kole polskiem odsłonił Kornel Ujejski, tłumacząc, dlaczego z Koła wystąpił.

»Chciałem w parlamencie zabrać głos w interesie Polski, do czego od Koła nigdybym nie otrzymał pozwolenia«.

O osławionej solidarności Koła powiedział Ujejski te pamiętne słowa:

> »Jeśli pojmujemy najsurowszą karność w służbie dla idei, to w niewolę pojedynczym ludziom nigdy nie pójdziemy — bo to nasze paladjum, ta solidarność, jak ją większość Koła praktykuje, blichtrem jest i piaskiem, na oczy kraju rzuconym, i że nie kraj z niej korzysta, ręczymy naszem sumieniem«.

I dlatego stoję na gruncie uchwał Stronnictwa ludowego:

> »Posłowie Stronnictwa ludowego nie wstąpią do Koła polskiego: a) dopóki »Koło polskie« nie wpłynie na rząd krajowy, aby prawa ludu nie były tak bezwzględnie gwałcone, a wszystkie urzędy państwowe i autonomiczne, aby przestrzegały obowiązujących ustaw, b) dopóki »Koło« nie zmieni statutów w tym kierunku, aby parlamentarna reprezentacja kraju była zjednoczeniem narodowych klubów stronnictw w kraju istniejących, w któremby kluby ludowe mogły w myśl swych zasad i programów bronić praw ludu«.

Pragnę dla społeczeństwa naszego takiego rozwoju ekonomicznego i hartu narodowego, jakie Czesi osiągnęli. Im nie zaszkodziło rozbicie Staroczechów, ich opozycja młodoczeska stanowi chlubną kartę w rozwoju narodowym. Nie szkodzi im i teraz podział w Radzie państwa na cztery kluby, przeciwnie, tylko pożytki wszelakie im przysparza. Z nich biorę przykład i zachętę i przekonanie, że dobro narodu nie wymaga odemnie, abym wstępował do Koła.

Przeciwnicy nasi śmią twierdzić, że sprawy miejskie tego wymagają, aby poseł lwowski należał do Koła. Otóż na to tyle powiem: wszyscy dotychczasowi posłowie lwowscy należeli do Koła; a że to nie przyniosło ani Lwowu, ani krajowi, ani narodowi korzyści, jakie przyrzekali ci, którzy i teraz przyrzekają, tego dowodzić nie potrzebuję, bo wszyscy to aż nadto dotkliwie odczuwamy. Rękodzielnicy[1] wiedzą, że zamiast przybywać ubywa im dostaw rządowych. Właściciele realności we Lwowie wiedzą, że są bezpłatnymi administratorami swoich majątków i z trudnością tylko mogą podołać ciężarom podatkowym. Za »wpływem« Koła płacą o 10—15% więcej podatku niż inne miasta. Za to, aby kolej z Winnik dochodziła do Lwowa, zapłacimy pewnie więcej niż miljon, także dzięki »poparciu« z Koła. Linja akcyzowa, mimo zabiegów ze strony miasta o zniesienie tejże, wyciska z ludności Lwowa najniesłuszniejsze opłaty. Posłowie lwowscy zostają ministrami, mają »wielkie wpływy«, ale nam, mieszkańcom Lwowa zupełnie nic z tego. Powiadają, że poseł, który wstąpi do Koła, zdoła wyjednać miljony na cele asanacyjne i inwestycyjne; ą ja się pytam: dlaczego dotychczasowi posłowie tego nie uczynili, pomimo, że rząd w tym właśnie okresie rozrzucał miljony. Lwów nie dostał nic, gdyż posłowie lwowscy związani solidarnością, nie mogli się upomnieć, a Koło nie chciało — i nie śmiało »czynić rządowi trudności«.

Pięciu radykałów czeskich miało wpłynąć na treść mowy tronowej, a 64 posłów Koła polskiego nie zdołało zastrzedz się przeciw rozporządzeniu ministra w sprawie uniwersytetu lwowskiego.

A jednak są jeszcze ludzie, ktorzy śmią przypuszczać, że Lwowianie uwierzą obietnicom i wybiorą posła, który dawnym pójdzie trybem, na służbę do konserwatystów w Kole.

Stara się o to część reprezentacji miasta, która obecnie zbiera się na narady i wiąże komitety, aby wybrać posła do Koła polskiego To samo prezydjum miasta, które udaje wielką troskliwość o potrzeby miejskie, ta reprezentacja ponosi wielką część winy za niepowodzenia postulatów miejskich, bo odmawiając nam sali ratuszowej na zgromadzenia, tłumi życie publiczne, zamyka nam drogę do omawiania spraw gminnych i popierania tychże drogą na całym świecie skuteczną, drogą manifestacji.

Reprezentacja miasta dziękuje owacyjnie dr. Bykowi za mówkę w parlamencie i w ten sposób usiłuje wprowadzić w błąd opinję publiczną. Ale my wiemy, do czego takie mówki kolarzy służą. I znowu się powołam na słowa Kornela Ujejskiego.

Rząd używa Koła — powiedział Ujejski — jako powolnego narzędzia, nic za to nie płacąc krajowi... »W pomniejszych sprawach dźwonią czasem miecze, dla tem lepszego zamaskowania odwrotu na całej linji bojowej. Dziwna to opozycja, której przewódca w końcu zdobywa dla siebie wysoki tytuł.«

Niech raczej reprezentacja miasta pamięta, że p. dr. Byk, aranżując wespół z innymi członkami Koła kartel spirytusowy, zagraża miastu nową kontrybucją.

Nie tędy droga — panowie — do naprawy stosunków, nie w kornej serwilistycznej postawie Koła czerpać ma poseł siłę i poparcie dla spełnienia żądań wyborców, świadomych rzeczy. Zamanifestowana silnie wola rzeszy wyborców i zdecydowana postawa posła budzi u rządu respekt i powolność dla postulatów.

Taką siłę wytworzyć przez poruszenie mieszczaństwa będzie moim obowiązkiem poselskim.

U nas do najpierwszych przykazań należy ścisła łączność posłów z wyborcami, urządzanie zgromadzeń informacyjnych i sprawozdawczych, zapytywanie o zdanie ludu w każdym ważniejszym wypadku. — U nas poseł uważa się za wykonawcę woli ludu, bo naszem hasłem jest:

Wszystko dla ludu, przez lud!

Znam potrzeby ludu pracującego, bo i jako agitator polityczny, uczestnicząc od lat w najróżniejszych zgromadzeniach we Lwowie i na prowincji, miałem możność przysłuchać się skargom pokrzywdzonych i naocznie patrzeć na niedolę w różnych przejawach, i jako poseł i jako redaktor pisma ludowego, a współpracownik »Kurjera Lwowskiego«, mam aż nadto dużo sposobności do zapoznania się z potrzebami ludzi wszelkich zawodów. W tem zgromadzeniu widzę obywateli z różnych sfer, którzy poświadczą, że sprawy przez nich mi poruczone wedle możności załatwiałem. Byłem, jestem i będę zawsze na zawołanie ku pomocy każdemu, kto krzywdę cierpi i niedolę, komu pomoc moja przydać się może.

Nie chcę Panów nużyć wyliczaniem potrzeb pracowników różnych zawodów. Wiem dobrze, że wszystkim urzędnikom najbardziej dolega tajna kwalifikacja, a potem austrjacki »sparsystem« kosztem niższych kategorji urzędników i służby. A nasi kierownicy poszczególnych działów administracji rządowej, aby wykazać swą gorliwość i służbistość, zwykli jeszcze i nadprogramowe czynić oszczędności.

Wiadome mi są stosunki służbowe i awansowe w służbie pocztowej, że w porównaniu nawet z Czechami u nas są warunki nieporównanie gorsze. Ostatni chociażby awans wykazał to jaskrawo. U nas oficjał z egzaminem na kontrolera musi czekać po dwa i trzy lata, zanim kontrolerem zostanie, a w Czechach zostaje nim w tej chwili po egzaminie. To też u nas, w Galicji mało który z urzędników manipulacyjnych dosłuży się VIII. rangi, a nawet IX.

Tak samo w służbie skarbowej. Galicja należy do rzędu najbardziej upośledzonych pod względem wyposażenia co do płac i rang.

A o kolejach i kolejarzach trzebaby osobno mówić parę godzin, aby choć z grubsza wykazać, jak to ministerstwo i zarządy kolejowe zabawiają się w różne reformy i polepszania płac, które miewają ten skutek, że z jednej strony podnoszą płacę o 50 złr., a z drugiej strony pod najróżniejszymi tytułami odbierają w emolumentach po 100 złr. Maszyniści na kolejach galicyjskich od sześciu lat daremnie czekają na awans. To też rozgoryczenie jest powszechne i uzasadnione.

W szkołach średnich wysługuje się rząd suplentami i praktykantami, a w wielu działach awans latami zupełnie zamknięty.

Bezpłatne praktyki w sądach i w urzędach podatkowych dopełniają obrazu hojności administracji państwowej względem Galicji.

A ile szykan, ile protekcyjnych »einszubów« i t. p.!

Nie potrzebuję zapewniać, że wszyscy ci pokrzywdzeni będą mieli we mnie wytrwałego obrońcę i rzecznika, tu na miejscu, we Lwowie i w Wiedniu wobec władz centralnych.

* * *

Zgromadzenie, wysłuchawszy przemówienia p. Jana Stapińskiego, powzięło jednomyślnie następujące uchwały:

1. Zgromadzeni w dniu 2. maja 1902 wyborcy miasta Lwowa uchwalają dołożyć starań, by posłem wybrany został Jan Stapiński, kandydat Stronnictwa ludowego.
2. Wyborcy solidaryzują się z programem pracy politycznej, rozwiniętym w przemówieniu kandydata p. Jana Stapińskiego, a w szczególności uznają nieodzowną potrzebę współdziałania mieszczaństwa z włościaństwem w dążeniu do podźwignięcia ekonomicznego kraju i politycznego wyzwolenia, co jedynie pod sztandarem Stronnictwa ludowego stać się może.
3. Wyborcy wzywają p. Jana Stapińskiego, aby, zostawszy posłem, nie wstępował do Koła polskiego.
4. Wyborcy wzywają i innych posłów ze Lwowa, by z Koła polskiego wystąpili.
5. Wyborcy wzywają posłów miasta Lwowa, by przed wyborcami się jawili i z posłowania sprawę zdali.

Drukarnia Udziałowa - Lwów, Lindego 8.

ło biedną kobietę otaczać wygodą i dobrobytem. Ale dziś straciłem posadę, goniony, trapiony, ukrywający się, zarabiać nie mogę i biorę z kasy narodowej po 2 złote dziennie.. Moja matka, siwa staruszka, ulice zamiata i pokoje myje... Myślisz, że mi żal tego?... Nie... gdybym się wrócił, powtórzyłbym to sto razy... A ty co?... jedno dziewczę zasłania ci Ojczyznę!... Tobie straszny dramat dziejowy nie wystarcza... naród cały w konwulsjach... to za mało dla nerwów karmazyna... wśród huku armat i jęku miljonów on musi snuć sobie czuły romans, bawić się w idyllę... włosy splatać i rozplatać... i na wypadek klęski zapewniać pociechę kółka rodzinnego... Z łaski... po amatorsku służycie Ojczyźnie... i dla tego ta ojczyzna w kajdanach!..

— Nie każdy ukuty z żelaza — przerwał półgłosem Artur — nie każdy się bez serca urodził.

— Bez serca? — prawie gwałtownie poderwał Paweł, którego twarz w tej chwili dziwnie się zmieniła, — bez serca?... a cóż to jest, co tak namiętnie kocha Polskę?

— Daruj — zawołał Artur — daruj... dość tego... rób ze mną co chcesz... rozkazuj...

— Biednys ty mój Arturze — łagodniejszym rzekł Paweł głosem — a potem zaczął na palcach rachować, mrucząc tylko:

— Toruń... dziesiąta... Berlin... szósta rano... Paryż... — no! — dodał głośno, jutro wieczorem musisz wyjechać, a pojutrze rano siedzieć na kolei w Toruniu.

— Dobrze — rzekł Artur — dziękuję ci i za te kilkanaście godzin.

Dwaj przyjaciele długo w noc rozmawiali. Paweł objasniał Artura o wielu rzeczach, często dysputowali i sprzeczali się. Paweł patrzał na rzeczy z właściwego sobie stanowiska. Ofiary były dlań niczem. Klęski uważał za naturalne konieczności położenia, obawy i wahania Artura odpychał nie dla tego, żeby nie przypuszczał przegranej, ale dla tego, że nawet w przegranej upatrywał korzyści.

Dawszy ostatnie instrukcje i objaśnienia przyjacielowi, niestrudzony Paweł odjechał jeszcze w nocy napowrót do Warszawy. Artur natychmiast kazał przywołać rządcę i krótki wydał rozkaz:

— Pojedziesz pan jutro do Mławy i za jakąbądz cenę przywieziesz mi dwa tysiące rubli.

— Trudno będzie, proszę pana...

— Ale być musi.

— Chyba na okowitę, ale tak źle stoi...

— Choćby za pół darmo, ale jutro na 4tą po południu być tu muszą pieniądze.

Rządca się ukłonił i wyszedł.

Co się działo w sercu i głowie Artura?...

Ach! huczala tam także burza pod czaszką... Paweł przywiózł mu rozkaz komitetu jechania natychmiast za granicę... Jak długo ta podróż potrwa? trudno było przewidzieć... zawsze miesięcy parę.. Spodziewać się mógł także, że wycieczka ta skompromituje go stanowczo i zamknie powrót do kraju.

Tymczasem tutaj zostaje Pola!.. ta Pola, która miała być gwiazdą jego życia, której uściskiem chciał sobie zdobyć jednę choć chwilę raju na ziemi...

— Odjechać i nie zobaczyć jej... odjechać i nie powiedzieć jej, że ją kocha, z ust jej nie usłyszeć

czarodziejskiego słowa?... Nie... sto tysiący razy nie!... bo to byłoby barbarzyństwem względem samego siebie...

Tak rozmawiając ze sobą, Artur przemęczył noc całą. Miłość trafiwszy na przeszkodę doszła do niezmiernych rozmiarów. Ten człowiek, który przed kilku dniami chciał się dobrowolnie jej wyrzec, dziś nic nie widział przed sobą, prócz postaci dziewczęcia. Jakże wolno płynęły godziny dla namiętnego kochanka! O świcie był już gotów, ubrany, a arab pod siodłem czekał w stajni. Ale przecież trzeba było mieć rozsądku trochę i poczekać przynajmniej godziny przyzwoitej do wizyty.

Nareszcie oczekiwana dziesiąta nadeszła. Artur milczący ciągle, zgorączkowany, dosiadł ulubionego wierzchowca i sam, bez Antoniego nawet, wyjechał na nim z dziedzińca powoli. Ale zaledwie wydostał się ze wsi, spiął ostrogami, położył się na szyi, cmoknął i jak wicher popędził.

Choć z Karlina do Starej wsi było doskonałe dwie mile, przy takiej jednak jeździe, we trzy kwadranse może, Stary dwór już szarzał przed oczyma Artura na tle ciemnych lip i klonów.

Powietrze jesienne i jazda ochłodziły nieco szalonego jeźdźca, przywróciły trochę równowagi. Stanął, otarł pot z czoła i spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze jedenastej...

— Za wcześnie — mruknął i skręcił do blizkiego lasku. Tu wjechawszy w gęstwinę, zsiadł i oparłszy się na siodle długo wpatrywał się w dom stary i obszerny, który szczęście jego mieścił.

Widział teraz Polę oczyma serca... od pierwsze-

go poznania aż dp ostatniej chwili każdy jej ruch, każde słowo stawało przed nim... Nie pojmował, jak mógł być tak obojętnym, tak spokojnym... opanowało go niewypowiedziane, nieokreślone pragnienie jej miłości...

Wyobraził sobie, że siedzi u nóg jej, a ona rączką twarz jego objęła, że usta położyła na czole...

Dreszcz luby go przejął, oczy zwilgotniały, byłby pragnął umrzeć w tej ekstazie...

Oh! strzeżcie się rozbujać wyobraźnię, bo ona jest najniebezpieczniejszą z tyranek...

— A jeżeli ona mnie nie kocha?... oh!... — i czoło do siodła przycisnął...

— Ha!... — zawołał po chwili.. — choćby i tak było, lepsza najstraszniejsza pewność, jak ten stan okropny...

Była 12 blisko. Artur dosiadł wypoczętego konia i małą dróżką puścił się do wsi. Ale tym razem nie leciał.. owszem ściągnął munsztuk i hamował ogień wierzchowca... Mimo pragnienia pewności, lękał się jej i zwlekał.

Ale i stępem dojeżdża się do celu, zwłaszcza gdy ten cel o kilkaset leży kroków. Kiedy wjeżdżał na dziedziniec, serce mu biło jak młotem, i ten były rozpustnik, ten zuchwały pojedynkarz, drżał jak listek, — kochał... oto wyjaśnienie.

Drzwi od dworu były zamknięte i nikt się nie pokazał. Artur zeskoczył z konia, pogłaskał go i gładząc szepnął w ucho:

— Arab niech czeka.

Inteligentne zwierzę zgięło kark z wdziękiem i pozostało nieruchome jak statua kamienna. W tej

chwili ukazał się z za węgła wyrostek i kłusem przybiegł do konia.

— Państwo są? — pytał Artur.

— Nie ma proszę jaśnie pana.

— Nie ma? — powtórzył machinalnie młodzieniec a nogi mu zadrżały i bladość twarz powlokła.

— Panie pojechały do Warszawy...

— Kiedy?

— Dziś raniutko.

— Dzisiaj?... — Więc ją mógł zastać, mógł widzieć!

— Kiedy wrócą? — zapytał bezmyślnie Artur, bo to już było dlań obojętne...

— Za tydzień podobno...

Artur siadł na ławie... nie mógł się utrzymać na nogach. Okropna opanowała go rozpacz. Odjechać na tak długo, na zawsze może i nie widzieć jej, nie powiedzieć tego, czego ona może niedomyśla się nawet. Bolesne jakieś przeczucie objęło przesądny jego umysł. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności zdawał mu się najsmutniejszą przepowiednią.

Chłopak stał przy schodach i ze zdziwieniem patrzał na zbladłą twarz gościa i jego prawie obłąkane oczy. Nareszcie Artur upamiętał się nieco i zapytał:

— A pani Majorowa?.. — i czekał odpowiedzi dech zatrzymawszy, bo to była jedyna nadzieja jego.

— Pojechała także...

— Ha!... to nieszczęście — zawołał mimowoli Artur i klasnął w ręce.

Chłopiec to usłyszał i naturalnie zdziwił się.

— A pan? — zapytał po chwili milczenia Artur.

— Wielmożny pan odprowadził wielmożne panie do Mławy, ale wróci dziś wieczorem.

Artur znów oparł czoło na ręku i myślał chwil kilka, potem twarz odsłonił i nieco spokojniej rzekł:

— Mój mały, zaprowadź mnie na chwilę do pokoju pani Majorowej...

Chłopiec spojrzał ciekawiej jeszcze, ale że to był już trochę dworak, bo się przy lokaju kształcił na służbistę, więc bez wał ania drzwi otworzył i powiedziawszy :

— Dobrze jaśnie panie — poprowadził Artura.

Po przejściu sali i paru pokoi, stanął we drzwiach otwartych i rzekł :

— To pokój starszej pani, a tamten panienki...

Dla czego chłopak ten dodatek zrobił? Artur nie zastanawiał się nad tem wcale. Serce mu zadrgało na myśl, ze jest tak blisko tych miejsc, które są powiernikiem wszystkich marzeń Poli. Zatrzymał się na środku i z dziecinną ciekawością spojrzał na drzwi do pokoju Poli prowadzące. Była to jednak chwilka tylko. Natychmiast przypomniał sobie powód przyjścia i obejrzał się po pokoju staruszki.

Pokój to był skromny i pełen prostoty. Nad łóżkiem tylko wisiał stary wypłowiały pawilon, na ścianie gromnice i wianki świętojańskie, apteczka z domowemi lekarstwami w rogu, stary wytarty fotel, a na stoliku krzyż drewniany i kilka grubych książek do nabożeństwa. Do tego stolika Artur zbliżył się i czegoś tam szukał. Nie znalazłszy, zwrócił się do chłopca i rzekł:

— Mój drogi! nie wiesz ty, gdzie tu papier i pióro?

— O! to chyba u panienki, bo pańska kancelarja zamknięta.

Artur odwrócił się i postąpił parę kroków ku drzwiom pokoju Polci, ale zatrzymał się i rzekł:

Idź i przynieś mi, co do pisania potrzebne.

Chłopiec wszedł do sanctissimum i drzwi zostawił otwarte; pokusa była za silna. Ostrożnie, jak złodziej na palcach, jakby się zbudzić bał kogo, nasz rycerz postąpił za nim i stanął w progu.

Spojrzał. Pokoik był skromniutki, bielutki, prawdziwie dziewiczy. Pod muslinową firanką kryło się malutkie łózeczko... na tych białych poduszkach dziś jeszcze spoczywała kochana główka, tą lekką ponsową kołderką dziś jeszcze kołysała jej pierś dziewicza. Na tym klęczniku, który stał w głowach łóżka, dziś rano jeszcze ona klęczała... maleńkie pantofelki stały na dywanie, na toalecie leżała chusteczka do nosa.

Przez króciutką chwilę, przez którą chłopiec zbierał papier, pióra i kałamarz, Artur przeszedł cały szereg uczuć, których określić nie podobna... i zdawało mu się, że z zakątka tego wiała na niego woń jakaś dziwna, urocza... upajająca..

W tej chwili spojrzał na album leżące na biurku, myśl mu nowa błysnęła i zawołał:

— Mały, podaj mi to album.

Artur przypomniał sobie, że w portmonecie ma parę swoich fotografij, i przyszedł mu pomysł dość zresztą zuchwały, by jednę z nich włożyć w album Poli...

Chłopiec podał album, a papier, kałamarz i pióra zaniósł i postawił na stole pani Majorowej.

Artur wziął album w rękę i lekko dłoń rozszerzył, szukając wolnej kartki, a drugą ręką sięgając po portmonetę.

Ale jakież było zdziwienie jego, gdy album roztworzyło się samo w miejscu widać często otwieranem i gdy na białem tle ujrzał... własny swój konterfekt. Biała kartka była zabrukaną nieco...

Oczy Artura błysnęły szczęściem... usta jakieś słowa wyszeptały namiętne... Bóg wie, jak długo byłby stał w tym zachwycie, gdyby nie chrząknięcie chłopca...

Przypomniał sobie po co przybył i oddając mu album, rzekł:

— Połóż to na swoje miejsce — a sam siadł przy stole i szybko pisać zaczął:

„Szanowna i łaskawa pani! Szczególne okoliczności i dobroć łaskawej pani ośmielają mnie do kroku zbyt może zuchwałego. Niezależne odemnie względy, zmuszają mnie wyjechać na czas jakiś, może na długo. Nie mogłem w taką puścić się drogę, nie usłyszawszy z ust panny Apolonji odpowiedzi, która o całej mej przyszłości zdecydować miała. Przybyłem więc tutaj dzisiaj chcąc jej powiedzieć, że ją kocham nad wszystko na świecie, chcąc jej matki i babki prosić o cień chociaż nadziei. Nieszczęście chciało, żem pań nie zastał. Do nieocenionej więc dobroci łaskawej pani się udaję, błagając ją, byś raczyła powiedzieć swej wnuczce to, czego ja sam może bym nie śmiał... Ktoś upoważniony przezemnie zgłosi się tu po odpowiedź, a jakakolwiek ona będzie, niech panna Apolonja raczy wierzyć, że dopóki żyję, dopóty mieć będzie na świecie serce jej tyl-

ko oddane, panie zaś serdecznego przyjaciela i pełnego szacunku sługę w

Arturze Karlińskim...“

List ten jakkolwiek krótki, niemało trudu kosztował. Myśl Artura bowiem wrzała, pod pióro cisnęły się potoki słów namiętnych, rzewnych, pełnych miłości i zapału, a jednak pisząc do osoby poważnej i prostej, należało zachować miarę i spokój.

Napisawszy, zapieczętowawszy i zaadresowawszy, Artur odwrócił się i zobaczył chłopca, który każdy ruch jego śledził.

— Chodż jeno tu mały... patrz, to jest list do pani Majorowej, kładę go tutaj, w jej książkę od nabożeństwa, jak przyjedzie, to jej powiesz, że tu byłem, że ten list tu leży... masz tu tymczasem, dodał wkładając mu trzyrublowy papierek, a dostaniesz wiele więcej, jak się dobrze sprawisz...

A gdy chłopak drżący z radości całował go w rękę, Artur dodał:

— Tylko... -- ale się natychmiast zatrzymał i głasnąwszy chłopca po głowie, wyszedł.

Chciał on polecić mu, aby o bytności jego i liście zamilczał przed Piotrowiczem, ale się wstrzymał dość wcześnie, spostrzegłszy, jak niewłaściwa i niebezpieczną byłoby rzeczą wtajemniczać w ten sposób malca.

W godzinę Karliński był z powrotem w domu. Wracał smutny, rozstrojony, pełen niewesołych przeczuć

Zawód jakiego doznał, wstrząsnął całą jego naturą; „odjechać i nie zobaczyć Poli“, te wyrazy jak zwrotki smutnej piosenki, brzmiały mu ciągle w u-

szach, w sercu. Ale z drugiej strony był dość zadowolony ze swego pomysłu, a wspomnienie albumu fotograficznego rozjaśniło czarne myśli.

W domu zastał już rządcę, który wrócił z pieniądzmi drogo okupionemi Artur zamknął się z nim na godzin parę i bardzo szczegółowe dawał instrukcje. Rządca zdziwił się i przeląkł widząc, że lekki panicz, który na wszystko dotąd patrzył przez szpary, wie o wszystkiem i zna się na wszystkiem. Nie mógł pojąć przyczyny tej zmiany. My ją znamy.., Artur uważał swój majątek jako majątek Poli i dlatego nim się tak interesował.

Czas płynął i wieczór się zbliżał. Antoni dawno już wypakował kufry, konie były ubrane, bryczka wytoczona. Artur długo chodził po swoim pokoju, nareszcie stanął i zadzwonił.

Stary sługa natychmiast zjawił się we drzwiach.

— Chodź jeno Antoni.

Antoni się zblizył.

— Siadaj tutaj... — rzekł młodzieniec, pokazując blizko stojące krzesło, a sam się na fotel rzucając. Starzec nieśmiało usiadł na rożku krzesła.

— Mam ci powierzyć rzecz, od której przyszłość i szczęscie moje zalezy...

Starzec się wyprostował i cały wcielił w ucho.

— Wyjeżdżam na długo... może na kilka tygodni... może na kilka miesięcy... domyślasz się po co i dla czego... otóż... jak ci mówiłem wczoraj... chciałem się żenić, dziś ci powiem z kim...

— I, proszę panicza, toż ja i bez tego wiedziałem...

— Tak?... jakim sposobem?

— Ba!... niby to tak trudno... ja przecież panicza znam od maleńkiego... Ile razy panicz widział panienkę ze Starej wsi, zawsze bywał taki zamyślony...

— Dobre masz oko, mój Antoni — rzekł na to z uśmiechem Artur — tak jest... kocham pannę Apolonję... i kocham tak, jak nie kochałem nigdy... ale ona o tem nie wie, a ja wyjeżdżać muszę. — Byłem dziś w Starej wsi i nie zastałem nikogo.. gonić za nimi nie mogę... powierzyć się nie mam komu... tylko tobie, mój stary, poczciwy Antoni...

Antoni rozrzewniony nachylił się i chciał w rękę panicza pocałować, ale Artur dłoń usunął.

— Słuchaj mnie więc uważnie. — Będę pisywał pod twoim adresem... Dwa razy na tydzień zgłosisz się na pocztę... W twoim liście będzie zawsze list do pani Majorowej... oddaj go natychmiast jej, lub pannie Apolonji.. rozumiesz?... będziesz to robił sam... osobiście...

— Rozumiem, proszę pana.

— Tylko ostrożnie i uważaj, żeby cię stary Piotrowicz nie spostrzegł, zdaje mi się, że on mnie nie lubi.

— Szelma łyk!...

— No... no... tylko nie tak znów ostro, mój stary... obrazić go nie można, bobym sobie utrudnił wszystko. Zresztą nie mogę mu przecież brać za złe, jeżelim mu się podobać nie umiał. Więc pamiętaj!... Dwa razy w tydzień bądź na poczcie, listy jakie będą, odbierz i oddaj jednej z tych pań... — a pisuj do mnie jak najwięcej, pod adresem jaki ci przyślę i donoś o wszystkiem...

— Dobrze, wielmożny panie, ale... bo ja tak bazgrzę.

— To nic, mój stary... już ja ciebie przeczytam. Tu zaś — dodał Artur — rób jak dotąd... werbujcie i odbierajcie przysięgę.. a przedewszystkiem ściągajcie proch, ołów i dubeltówki... tu oto masz pięćset rubli na te wydatki, a gdyby zabrakło, powiesz rządcy.

— Dobrze... ale... — i stary się zatrzymał.

— Co takiego... mów śmiało...

— Bo — chciałem się zapytać... że przecież panicz wróci... nim przyjdzie co do czego... bo bez panicza, to my tutaj nic nie poradzimy.

— Wrócę — wrócę... bądź spokojny, mój Antoni... chybabym umarł.

W Imię Ojca i Syna! — zawołał stary wiarus, — niechże panicz aby takich rzeczy nie mówi... Boże broń w złą godzinę...

Niedługo po tej rozmowie Karliński wyjeżdżał z domu z sercem ciężkiem, ale z przekonaniem, że dobrze, o ile się dało, urządził interesa swoje sercowe... Przebywszy źle strzeżoną granicę, około północy siedział w pruskiej poczcie, odchodzącej dwa razy na dzień z Lidzborka do Torunia, a na trzeci dzień potem wjeżdżał ze świstem lokomotywy do stolicy cywilizowanego świata.

IX.

W tej samej chwili, gdy Karliński puszczał się w podróż, Piotrowicz zajeżdżał przed dwór Starej wsi. Drzwi mu otworzył ten sam wyrostek, który przyjmował Artura, a który zastępował lokaja, towarzyszącego paniom do Warszawy.

Zdejmując burkę w przedpokoju, ex-mecenas zapytał się dość obojętnie:

— Był tu kto?

Służba bała się Piotrowicza jak ognia, zresztą chłopiec ani przypuszczał, żeby taić należało, odpowiedział też spokojnie:

— Był pan Karlinski.

Nazwisko to niemile drasnęło palestranta. Domyślał się od dawna, że młodzi mają się ku sobie, a że Karlinskiego instynktowo nienawidził, że prócz tego tenże upokarzał go ciągle chłodnem i trochę z góry traktującem postępowaniem, że przedewszystkiem nie mając gotówki, nie mógł mu dożywocia żony tak, jak Adamski spłacić od razu — więc ojczym Poli uważał go za naturalnego — a bardzo niebezpiecznego przeciwnika, którego się strzedz należy. Wizyta więc tego wroga tak niespodziana i dziwnie prędka, rozbudziła w nim natychmiast podejrzenia.

— Nie kazał co powiedzieć? — zapytał po krótkiej chwili namysłu, bystro patrząc w oczy wyrostkowi.

— Jaśnie panu nic... tylko...

— Tylko co?... — ostro zapytał były adwokat.

— Tylko zostawił list do starszej pani.

— Gdzie ten list?

— Pan Karliński go włożył w książkę do nabożeństwa w pokoju starszej pani... i kazał, żeby go jej oddać zaraz, jak powróci.

Piotrowiczowi oczy błysnęły, zrobił ruch, jakby chciał wyjść, ale potem zatrzymał się i udając obojętność, zapytał jeszcze:

— A więcej nic nie kazał powiedzieć nikomu?

— Nie...

— To dobrze... możesz odejść... list sam pani Majorowej oddam.

Zaledwie jednak przycichł odgłos kroków chłopaka, już pan Piotrowicz z lampą w ręku sunął przez wszystkie salony na drugą stronę domu, do pokoju staruszki.

Dom był pusty, w tym domu on był panem a przecież skradał się jak złodziej... W najniecniejszych nawet ludziach pewne czyny obawę i wstyd wywołują.

Piotrowicz list znalazł od razu, bez wahania otworzył i przeczytał.

— Hm!.. tak?... To jeszcze nie zaszło tak bardzo daleko... Co to za szczęście, że one wyjechały... — i schowawszy list do kieszeni poszedł do swego pokoju.

Tu długo jeszcze stary lis zastanawiał się nad tym fantem i kombinował rozmaite okoliczności.

— Czy ona się w nim zadurzyła, czy nie?... — mówił do siebie? — kto wie?... Takie libertyny mają szczęście... wszak ja kiedyś... może być bieda,

jak się uprze... a z Adamskim złoty innteres.. czasy jakoś niepewne... nuż chłopów uwłaszczą... Stara wieś grubo mniej będzie warta, a zresztą znudziło mnie to gospodarstwo i ta szlachta buńczuczna a głupia jak stołowe nogi... Wezmę kapitał i wyniosę się do miasta, a niech oni robią sobie z majątkiem co chcą... Tak... to najlepszy interes... A ten mi tutaj w drogę włazi... błazen... mysli, że ja darmo wdowie jęki przez tyle lat znosiłem i cierpiałem grymasy dzieciaka... kiep jakiś... goły jak święty turecki, długów więcej jak włosów i chciałby się na mnie zreperować... Oho... nie głupim... co mnie z dożywocia... kto chce dostać Polę, niech kapitał zapełni... bares geld... Ale ki djabeł ma być ten ktoś upoważniony? — i mecenas zamyślił się głęboko.

— Trzeba się strzedz — mówił dalej — bo jakby się dowiedziała, gotowa się uprzeć — to kozioł! — i mecenas, to chodząc po pokoju, to siadając, długo szukał planu działania. Czy i co wymyslił, zobaczymy później. Tu to tylko powiemy, że jak się często zdarza, los ślepy pomógł niepoczciwym zamiarom.

Piotrowicz bał się przedewszystkiem owego kogoś upoważnionego i nie byłby go łatwo odgadnął w starym i skromnym Antonim.

Otóż czwartego czy piątego dnia po wyjeździe Artura, Karlin został przed świtem otoczony przez dwie roty wojska i zaczęto go od góry do dołu rewidować.

Otwierano stare groby familijne Karlińskich, rozbijano trumny, rozbierano ołtarze, pałac Artura przejrzano od góry do dołu. Nic nie znaleziono po-

dejrzanego, ale nie zastawszy pana, zaaresztowano najbliższe jego otoczenie, zacząwszy od starego Antoniego, który był znany jako powiernik i raczej przyjaciel, jak sługa Artura.

Wiadomość o tym wypadku, która rozeszła się po okolicy i wielkie wywarła wrażenie, ucieszyła mocno Piotrowicza. Wnioskował on bardzo sprawiedliwie, że Artur ścigany i skompromitowany nie tak prędko będzie mógł wrócić, a z nieobecnym zawsze rada łatwiejsza. Ani się jednak domyślał, że obława mowskiewska schwytała właśnie jedynego człowieka, który miał za pośrednika między zakochanemi służyć.

I ta jednak niewiadomość wyszła mu na dobre. Ciągle niespokojny o owego kogoś upoważnionego postanowił działać szybko, energicznie i z największą rozwagą.

Przedewszyskiem listu Artura Majorowej pokazywać nie myślał — i schował go głęboko. Raz jeszcze jednak wziął go w rękę i raz jeszcze odczytał. Wtedy dopiero spostrzegł, że Artur o nim ani wspomniał.

— A błazen — mruknął zaperzony — matkę i babkę będzie prosił... a mnie jakby nie było!.. fanfaron.. arystokrata!.. Dam ja tobie gałganie! żebyś miljon dawał, Poli nie dostaniesz.

I do rachub pieniężnych przybyło rozdrażnienie miłości własnej a wydanie dziewczęcia za Adamskiego stało się punktem honoru dla tej natury podstępnej i mściwej.

Pierwszą ofiarą padł Piotruś— ów chłopiec kredensowy. Jako ten, który wiedział o liście, był on niebezpiecznym — mógł się przed majorową wyga-